

JADWIGA KIWERSKA
Poznań

USA W POLITYCE NIEMIEC

Stany Zjednoczone i Republikę Federalną Niemiec, od momentu jej powstania, łączył szczególny układ, stanowiący zresztą bardzo ważny element partnerstwa transatlantyckiego. Wynikało to z faktu, że Niemcy Zachodnie wiele zawdzięczały wsparciu i poręczeniu Waszyngtonu, począwszy od pomocy w procesie demokracji i odbudowy gospodarczej kraju, zwyciężonego i podzielonego po II wojnie światowej, aż po gwarancję bezpieczeństwa oferowaną przez cały okres zimnej wojny. Rzecz jasna nie uniknięto dysonansów we wzajemnych stosunkach, zwłaszcza gdy w grę wchodziły próby manifestowania niemieckich interesów narodowych, jak w przypadku *Ostpolitik* lat 70. lub ruchów pacyfistycznych przełomu lat 70. i 80. Nie ma też wątpliwości co do tego, że te wyjątkowe stosunki niemiecko-amerykańskie oparte były na założonym z góry ograniczeniu suwerenności Niemiec i uzależnieniu od amerykańskiego patronatu. Jednak to przede wszystkim Stany Zjednoczone bardziej niż Wielka Brytania, a już na pewno Francja były głównym zachodnim sojusznikiem kanclerza Helmuta Kohla w jego działaniach na rzecz integracji Niemiec, opowiadały się też zdecydowanie za utrzymaniem zjednoczonego państwa niemieckiego w *NATO* oraz odzyskaniem przez RFN pełnej suwerenności.

Po zjednoczeniu Niemiec i rozpadzie Związku Radzieckiego w niemieckiej ocenie USA pojawiły się nowe elementy. Nadal doceniano rolę, jaką Ameryka odegrała w latach zimnej wojny, skutecznie chroniąc pod atomowym parasolem swych sojuszników. Przyznawano też, że Stany Zjednoczone pozostały jedynym mocarstwem zdolnym w tak silnym stopniu kształtować sytuację w świecie. Z drugiej jednak strony, zniknięcie zagrożenia radzieckiego osłabiło zależność Niemiec od Ameryki. Zmniejszyło się zapotrzebowanie na amerykańskie wsparcie militarne i polityczne. Zresztą silne przywództwo USA w świecie zachodnim było m.in. wypadkową napięć między Wschodem a Zachodem. Gdy na przełomie lat 80. i 90. napięcia te znikły, zmienił się społeczny odbiór obecności amerykańskich wojsk w Niemczech.

W niemieckiej ocenie Ameryki na początku lat 90. uderzała więc pewna dwuznaczność i próba godzenia dwóch postaw. Akceptowano militarne i polityczne zaangażowanie USA w obronę Europy, odrzucano ideę stworzenia czysto

europiejskiego systemu bezpieczeństwa, wykluczającego mocarstwo zza Atlantyku. Z tych powodów aprobowano ważną rolę USA w *NATO*. Jednak opowiadanie się za sojuszem ze Stanami Zjednoczonymi nie oznaczało poparcia wojskowej obecności USA w Niemczech. Większość Niemców opowiadała się za wycofaniem wojsk amerykańskich z terytorium ich państwa. Według danych z 1991 r. 57% Niemców popierało całkowite wycofanie wojsk amerykańskich z Niemiec. W tym samym czasie aż 70% Niemców opowiadało się za wycofaniem z RFN amerykańskiej taktycznej broni nuklearnej. Z kolei jedynie 20% badanych uważało, że zjednoczona Europa powinna całkowicie zrezygnować z Ameryki i jej wkładu w europejskie bezpieczeństwo¹.

Ta zmiana postaw społecznych Niemców wobec Stanów Zjednoczonych w niewielkim tylko stopniu dotyczyła kręgów rządowych. Dla koalicji *CDU/CSU-FDP* ogromne znaczenie miał fakt, że amerykańska obecność w Niemczech, podobnie jak członkostwo RFN w *NATO* i bliskie stosunki z USA, tworzyły odpowiednie ramy dla rozwiązania podwójnego dylematu, który tradycyjnie trapił politykę europejską. Był to problem niekontrolowanego rozwoju niemieckiej siły zbrojnej oraz dominacji Niemiec ze względu na ich potencjał gospodarczy i ludnościowy, a także kwestia centralnego położenia w Europie. Czynniki amerykański powodował, że po raz pierwszy siła wojskowa i gospodarcza Niemiec nie była traktowana przez sąsiadów jako zagrożenie. Jednocześnie RFN mogła dalej trwać pod parasolem ochronnym USA oraz kompensować sobie wszelkie ograniczenia, jakie nałożono na niemieckie siły zbrojne.

Nic dziwnego, że przedstawiciele rządzącej koalicji *CDU/CSU-FDP* uważali bliskie stosunki z USA za „kotwicę niemieckiej polityki zagranicznej”². Argumentację na rzecz utrzymania tak zażyłych stosunków z Ameryką przedstawił niemiecki minister spraw zagranicznych Klaus Kinkel podczas pobytu w Waszyngtonie: „Wzajemnie się potrzebujemy, podobnie jak w przeszłości. Mamy nie tylko wspólne interesy, nasze wspólne interesy i powiązania przeważają nad różnicami. Niemcy i USA budują rdzeń *NATO*. Tak jak razem z Francją stanowimy motor zjednoczenia Europy, tak chcemy być wraz z USA motorem do osiągnięcia celów euroatlantyckich”. W innym wystąpieniu niemiecki minister spraw zagranicznych opowiadał się za „atlantycką Europą, która pozostaje świadoma swoich historycznych powiązań ze Stanami Zjednoczonymi”³.

Poza frazeologiczną otoczką, charakterystyczną dla kurtuazyjnych gestów polityków, krył się głębszy sens niemieckiego rozumienia powiązań transatlantyckich i roli Ameryki w polityce Bonn. Z jednej strony koalicja rządowa popierała

¹ J. Behnke, *Die öffentliche Meinung in den alten und neuen Bundesländern zu Amerika und der Nato zwei Jahre nach der Wiedervereinigung*, Bamberg 1992, s. 20; R. D. Asmus, *Germany in Transition: National Self-Confidence and International Reticence*, A RAND Note 1992, s. V.

² Zob. wystąpienie Kohla 6 II 1993, w: *Bulletin des Presse- und Informationsamtes der Bundesregierung* (dalej: „Bulletin”), 10 II 1993, s. 103.

³ „Bulletin” 3 III 1993, s. 143.

plan obecności 150 tys. żołnierzy amerykańskich w Niemczech, nie unikała też dyskusji na temat politycznych przyczyn utrzymania Amerykanów w Europie. Z drugiej zaś, po 1989 r. politycy i komentatorzy niemieccy inaczej widzieli rolę USA w Europie. Raczej opowiadali się za funkcją wspierającą, a nie dominacją, jak było przez ostatnie cztery dziesięciolecia. Przychylali się też skwapliwie do opinii głośno wyrażanej za oceanem, że Stany Zjednoczone nie mogą być niczym Atlas, dźwigający na swych barkach cały świat, że nie mogą ponosić głównego ciężaru finansowej i wojskowej odpowiedzialności w ramach *NATO*. Wobec wielu różnych wyzwań i problemów zarówno przywództwo, jak i ciężary muszą być dzielone. Jasno rysowała się zatem perspektywa, że wraz z postępowaniem procesu integracyjnego w Europie, zwłaszcza w zakresie tworzenia wspólnej polityki zagranicznej i bezpieczeństwa UE, kraje europejskie będą musiały w większym stopniu liczyć na własne siły. Nie zmieniało to w niczym faktu, że dla koalicji *CDU/CSU-FDP* mocarstwo zza Atlantyku pozostało głównym gwarantem niemieckiego i europejskiego bezpieczeństwa, niezwykle atrakcyjnym sojusznikiem.

Równocześnie jednak rozumiano konieczność nadania stosunkom transatlantycznym nowego charakteru. Niemiecki minister obrony Volker Rühle precyzował tę myśl następująco: „Musimy oprzeć partnerstwo transatlantyckie na nowych podstawach. Potrzebne jest nowe partnerstwo: z jednej strony Ameryka jako partner, który będzie popierał budowę nowej Europy, z drugiej zaś Europa, która bierze więcej odpowiedzialności za siebie i pokój światowy. Trzeba też, aby Ameryka na nowo zdefiniowała swą rolę zarówno jako mocarstwa światowego, jak i w ramach Sojuszu. Te dwa procesy muszą być wzajemnie zharmonizowane”⁴. A zatem już na początku lat 90. w myśleniu niemieckich polityków wybijało się pragnienie wzmocnienia roli Europy Zachodniej w stosunkach ze Stanami Zjednoczonymi i w ramach *NATO*, a przy okazji podniesienie pozycji Niemiec w partnerstwie transatlantyckim przynajmniej o kilka szczebli wyżej. Choćby dla umocnienia zasady, że dobrze funkcjonujące stosunki amerykańsko-niemieckie są ważnym elementem Sojuszu Atlantyckiego.

Takie myślenie odpowiadało tezom formułowanym w Waszyngtonie. Politycy amerykańscy wyraźnie stawiali na partnerstwo z Niemcami na arenie międzynarodowej: począwszy od działań na rzecz stabilizacji w Europie Środkowo-Wschodniej, jej transformacji politycznej i gospodarczej, poprzez stosunki z Rosją, po udział w akcjach zbrojnych na świecie. Co więcej, starali się też przekonać innych Europejczyków do zaakceptowania aktywniejszej roli zjednoczonych Niemiec na kontynencie. Prezydent George W. H. Bush, krótko po zjednoczeniu, zaproponował nawet Niemcom „partnerstwo w przywództwie” (*partnership in leadership*). Wkrótce określenie to zagościło we wzajemnych relacjach. Stanom Zjednoczonym chodziło o to, aby Niemcy zdecydowały się

⁴ „Stichworte zur Sicherheitspolitik. Presse- und Informationsamte der Bundesregierung” (dalej: „Stichworte zur Sicherheitspolitik”), VIII 1993, s. 387.

odgrywać aktywniejszą rolę na arenie międzynarodowej, odpowiadającą ich nowej pozycji i randze. Jakkolwiek nie brakowało zrozumienia dla wewnętrznych obciążeń związanych z procesem „wchłaniania” byłej NRD oraz wynikających z historycznych oraz prawno-politycznych uwarunkowań niemieckiej polityki zagranicznej, to jednak podkreślano konieczność silniejszego zaznaczenia przez Niemcy ich nowej pozycji w świecie. W takim kontekście pojawiała się też perspektywa włączenia Niemiec jako stałego członka do Rady Bezpieczeństwa ONZ.

Także prezydent William J. Clinton był zainteresowany włączeniem Niemiec do współodpowiedzialności za porządek międzynarodowy. Takie przesłanie towarzyszyło amerykańskiemu prezydentowi podczas wizyty w Niemczech w lipcu 1994 r. Wystosował wówczas apel o bardziej aktywną rolę Niemiec w sprawach światowych. Mówił też wiele o nowych, „specjalnych stosunkach” między Republiką Federalną a USA, co nawet stawiało pod znakiem zapytania tradycyjne *special relations* z Wielką Brytania. W takim kontekście nie dziwi fakt, że amerykański prezydent był wyraźnie zadowolony z orzeczenia Federalnego Trybunału Konstytucyjnego, który 12 lipca 1994 r. przesądził o możliwości udziału *Bundeswehry* w akcjach zbrojnych nawet *out of area*⁵. Ogłoszenie werdyktu zbiegło się zresztą z wizytą Billa Clintona w Niemczech, dlatego prezydent USA komentując to wydarzenie powiedział: „Dotychczas Niemcy przewodziły w forsowaniu integracji Europy i dzieleniu odpowiedzialności między poszczególnymi państwami europejskimi. Teraz można mieć nadzieję, że Niemcy podejmą bardziej energiczne starania o rozwiązanie problemów zarówno w Europie – na przykład w kwestii bośniackiej – jak i poza jej granicami. Mam nadzieję, że skorzystamy z pełnych teraz możliwości przywódczych Niemiec”⁶.

Temu przekonaniu, że Niemcy będą teraz odgrywać bardziej wyrazistą rolę na arenie międzynarodowej, nie towarzyszył jeszcze wówczas niepokój o to, czy w tej nowej sytuacji Niemcy pozostaną lojalnym i w pełni oddanym sojusznikiem Amerykanów. Zapewniał zresztą o tym H. Kohl, mówiąc w obecności amerykańskiego prezydenta: „My Niemcy wiemy, że nasze bezpieczeństwo i możliwości naszej polityki zagranicznej zależą od tego, czy będziemy niezawodnymi partnerami i czy nasi sojusznicy będą mieli do nas zaufania”⁷. Nie ulegało jednak wątpliwości, że czasy, w których Stany Zjednoczone jako mandatariusz po prostu wykladały swoje stanowisko, a Niemcy je akceptowały, przeminęły. W nowych warunkach lojalność Niemców wobec Ameryki nie musiała oznaczać bezwzględnego posłuszeństwa.

⁵ Zdaniem Federalnego Trybunału Konstytucyjnego w Karlsruhe niemiecka Ustawa Zasadnicza daje podstawy do udziału *Bundeswehry* w operacjach poza obszarem Niemiec i *NATO*. Zastrzeżono jednocześnie, że decyzje w sprawie udziału *Bundeswehry* może podejmować rząd, jednak każda akcja wymaga zgody *Bundestagu*. Orzeczenie Trybunału w: „Das Parlament” nr 28, 15 VII 1994.

⁶ Cyt. w: „The Wall Street Journal” 13 VII 1994.

⁷ Tamże.

Świadomość, że Niemcy pomimo nowych uwarunkowań pozostaną takim sojusznikiem Waszyngtonu, na którego – w przeciwieństwie do Francji – zawsze będzie można liczyć, spowodowała, że administracja B. Clintona z mniejszą nieufnością, niż ekipa G. Busha podchodziła do europejskich ambicji obronnych, czyli Europejskiej Tożsamości w zakresie Bezpieczeństwa i Obrony (*European Security and Defense Identity – ESDI*). Warto przypomnieć, że Biały Dom w okresie prezydentury G. Busha z dezaprobatą odniósł się do planów ożywienia Unii Zachodnioeuropejskiej i utworzenia z niej zbrojnego ramienia Unii Europejskiej. Autorzy pomysłu: francuski prezydent François Mitterrand i kanclerz Niemiec H. Kohl dowodzili, że kształtująca się UE wymaga własnych, nowych możliwości także w zakresie obrony, a Europa większej odpowiedzialności za swe bezpieczeństwo. UZE miała również spełniać rolę europejskiego „filara” NATO, zdolnego uczestniczyć w operacjach pozostających poza sferą zainteresowań USA, ale przy wykorzystaniu infrastruktury Sojuszu. W tym samym 1991 r. przywódcy Francji i Niemiec podjęli próbę zbudowania Eurokorpusu, który miał być załącznikiem przyszłej armii europejskiej, silnie zintegrowanej i pozostającej pod wyłącznym dowództwem Europejczyków.

Sceptycyzm Waszyngtonu wobec planów zbrojeniowych Europy brał się stąd, że dostrzegano w nich zagrożenie nie tylko dla amerykańskiej dominacji w NATO i utrzymania jego zwartości, ale również dla stosunków amerykańsko-niemieckich. Administracja G. Busha obawiała się bowiem umocnienia francusko-niemieckiego przywództwa w Europie i w rezultacie podważenie integralnej struktury Paktu. Z dużym sceptycyzmem odbierano też twierdzenia, że nowa formacja będzie sposobem na ściślejsze związanie Francji ze zintegrowanymi strukturami NATO⁸.

Amerykańskie zastrzeżenia wobec planów Europy w zakresie bezpieczeństwa i obrony stawiały Niemcy w trudnej sytuacji. Z jednej strony, chcąc utrzymać dobre stosunki z USA, kultywowane przez ostatnie 40 lat, nie mogły zignorować amerykańskich zastrzeżeń; zresztą Bonn nie było zainteresowane ograniczeniem roli NATO ani zmniejszeniem amerykańskiej obecności w Europie. Jednak z drugiej strony należało usatysfakcjonować francuskiego sojusznika. Chodziło o potwierdzenie historycznego już zbliżenia francusko-niemieckiego oraz o kontynuowanie procesu integracji europejskiej. Zresztą umocnienie europejskiej tożsamości obronnej leżało także w interesie Niemiec, gdyż wzmacniało ich rolę na kontynencie. Rzecz jednak w tym, że Francja – w przeciwieństwie do RFN – przez ostatnie lata była zainteresowana przede wszystkim umocnieniem politycznej i wojskowej niezależności Europy od Ameryki. Rozwiązanie dylematu Niemiec nie było więc sprawą prostą.

Kolejna płaszczyzna sporu między Ameryką a RFN pojawiła się pod koniec 1997 r. Wówczas to USA wystąpiły z propozycją zmiany zasadniczej koncepcji strategicznej Sojuszu. Chodziło o uznanie groźby proliferacji broni masowego

⁸ F. Kempe, *U.S., Bonn Clash Over Pact with France*, „The Wall Street Journal” 27 V 1992.

rażenia oraz eskalacji terroryzmu międzynarodowego za największe zagrożenie dla państw Sojuszu. A w ślad za tym powinno nastąpić rozszerzenie zasięgu działania *NATO*. Tymczasem europejscy członkowie Sojuszu obawiali się, że nowe cele uczynią z *NATO* wielonarodową strukturę wojskową, działającą na rzecz globalnych interesów Stanów Zjednoczonych. Także Niemcy nie wykazywali zbytniego entuzjazmu dla amerykańskich sugestii. Minister obrony V. Rühle dowodził, że zjednoczona Europa nie powinna stać się światowym mocarstwem militarnym. Europejczycy – jego zdaniem – nie muszą konkurować z „wielowymiarowym” mocarstwem światowym – Ameryką, ani nie powinni usiłować go naśladować⁹.

Istota tej dyskusji sprowadzała się zatem do tego, czy Niemcy wraz z pozostałymi europejskimi sojusznikami USA są gotowe odgrywać rolę partnera w skali globalnej, jakiego poszukuje Ameryka. Uderzała dość duża wstrzeźliwość Bonn i większości stolic europejskich do takiego działania. Gdy w styczniu 1998 r. Stany Zjednoczone zabiegały o poparcie sojuszników dla ewentualnej interwencji militarnej w Iraku, tylko Wielka Brytania zadeklarowała wolę udzielenia wojskowego i politycznego poparcia dla zamierzeń Waszyngtonu. Niemcy ograniczyły się jedynie do poparcia moralnego, ale nie zamierzały wspierać ani finansowo, ani tym bardziej militarnie działań amerykańskich. Kryzys iracki z początku 1998 r. dał zatem Niemcom okazję zademonstrowania, że nie są już posłusznym realizatorem zamierzeń wielkiego sojusznika zza Atlantyku.

Tak więc, choć z jednej strony utrzymywała się lojalność Niemiec wobec Ameryki, poczucie bliskości i wola trwania w sojuszu, to z drugiej – poczucie lojalności nie oznaczało już bezwzględnego posłuszeństwa i całkowitej spolegliwości. Można było odnieść wrażenie, że powoli narasta rozdźwięk między globalnymi interesami USA a punktami koncentracji polityki niemieckiej. Ale mimo wszystko politycy niemieccy starali się tak lawirować, aby działając na rzecz np. europejskiej tożsamości obronnej nie narażać zbytnio swoich dobrych relacji z Ameryką.

Zmiana niemieckiej koalicji rządowej jesienią 1998 r. początkowo nie zwiastowała zasadniczego odejścia od dotychczasowych, raczej bezkolizyjnych relacji z Ameryką. I to pomimo tego, że rządy w Berlinie przejęły *SPD* i Zieloni – partie tradycyjnie demonstrujące większy dystans wobec Waszyngtonu, *NATO* oraz militarne zaangażowania *Bundeswehry*. Szczególnie Zieloni, których lider Joscha Fischer, w nowym rządzie minister spraw zagranicznych, swą drogę polityczną rozpoczął w latach 60. jako jeden z przywódców rewolty młodzieżowej, uchodzili nie tylko za pacyfistów, ale także za ostrych oponentów polityki amerykańskiej. Również socjaldemokraci pod wodzą Gerharda Schrödera charakteryzowali się mniej przyjaznym niż chadecja stosunkiem do Ameryki. Tymczasem w porozumieniu koalicyjnym, podpisanym 28 października 1998 r., akcentowano znaczenie *NATO* i amerykańskiej obecności w Europie dla Niemiec oraz bezpieczeństwa

⁹ Cyt. w: K.-D. Frankenberger, *Zivilmacht oder Weltmacht*, „Frankfurter Allgemeine Zeitung” 8 XI 1997.

i stabilizacji na kontynencie. Zgodnie też z niepisaną zasadą kanclerz G. Schröder i minister J. Fischer już 9 października 1998 r., niemal natychmiast po ukonstytuowaniu się nowego rządu, przybyli do Waszyngtonu, aby przedstawić się amerykańskiemu sojusznikowi.

I to właśnie koalicja „czerwono-zielona” pod naciskiem amerykańskim przystąpiła na zaangażowanie RFN po stronie państw *NATO* w rozpoczętej 24 marca 1999 r. wojnie z Jugosławią. Uczyniła to wbrew znacznej części niemieckiej opinii publicznej, a nawet w warunkach wątpliwej konstrukcji prawno-międzynarodowej, jednak w imię m.in. wzmocnienia więzi z Ameryką poprzez wypełnianie zobowiązań sojuszniczych, nawet przy użyciu siły zbrojnej. Po raz pierwszy od zakończenia II wojny światowej Niemcy żołnierze mieli wziąć udział w działaniach bojowych.

Można było zatem wnioskować, że rząd *SPD*-Zieloni będzie kontynuował główne kierunki polityki zagranicznej H. Kohla, a zwłaszcza dbał o dobre relacje z USA. Jeśli G. Schröder, a zwłaszcza J. Fischer zdecydowali się niemalże przekroczyć polityczny Rubikon, odrzucając część swej ideologii: radykalny pacyfizm i antyamerykanizm, choć oznaczało to narażenie się swoim wyborcom, a nawet członkom własnych partii, to przyszłość relacji amerykańsko-niemieckich wydawała się bezpieczna.

W tej sytuacji nie budziły większego zaniepokojenia zgłaszane przez rząd G. Schrödera zastrzeżenia i wątpliwości wobec niektórych tendencji w amerykańskiej polityce. Mieściły się one bowiem w ramach dopuszczalnej przez Waszyngton czasu B. Clintona dyskusji o współpracy transatlantycznej. Te obiekcje dotyczyły tradycyjnie już doktryny strategicznej *NATO*: czy będzie ono działać na obszarze euroatlantyckim, jak chcieli m.in. Niemcy, czy w wymiarze globalnym, o co walczyła strona amerykańska; czy należy uznać mandat ONZ jako obowiązującą prawną podstawę akcji zbrojnych Sojuszu, czego domagał się G. Schröder, czy może rację mają amerykańscy zwolennicy uczynienia z *NATO* „światowego żandarma” i uznania przypadku Kosowa za precedens, a nie wyjątek. Kompromisowe rozstrzygnięcia w tych kwestiach, przyjęte podczas szczytu *NATO* w kwietniu 1999 r., dowodziły umiejętności dogadywania się sojuszników oraz pozwoliły wówczas zachować spójność układu transatlantyckiego, w tym również harmonię na linii Berlin-Waszyngton.

Wyraźny już spór o charakterze strategicznym, w który zaangażowały się również Niemcy, wywołał pod koniec prezydentury B. Clintona amerykański projekt budowy systemu obrony przeciwrakietowej (*National Missile Defense* – *NMD*), mający osłonić USA przed potencjalnym uderzeniem rakietowym ze strony „państw bandyckich”. Amerykańskie plany budowy „tarczy antyrakietowej” wzbudziły zaniepokojenie w Berlinie. Niemcy poczuli się dotknięci faktem, że prezydent B. Clinton nie podjął z nimi zasadniczej dyskusji o wykonalności i kosztach takiego systemu, o stratach i zyskach w sferze obronności oraz o politycznych i strategicznych skutkach jego rozmieszczenia. Jedynie informował, że bez względu na protesty Stany Zjednoczone będą nad tym systemem pracowały.

Takie postawienie sprawy odebrano w Berlinie jako wyraz amerykańskiej arogancji i braku szacunku wobec sojuszników. Niemców niepokoiło głównie to, że realizacja amerykańskiego projektu spowoduje nowy wyścig zbrojeń oraz będzie zagrażała interesom Moskwy, która zaczęła odgrywać wyjątkową rolę w niemieckiej polityce. Tworzenie tarczy wymagało wypowiedzenia układu rozbrojeniowego *ABM (Anti-Ballistic Missile)*, podpisanego ze Związkiem Radzieckim w 1972 r., który zakazywał tworzenia tego typu systemów obrony. Berlin uważał zaś, podobnie jak Moskwa, że układ *ABM* stanowi ważny element bezpieczeństwa europejskiego. Czy warto – pytał na początku lutego 2001 r. minister J. Fischer – narażać stosunki z Rosją w obawie przed raketami, których prawdopodobnie żadne z „państw bandyckich” jeszcze nie posiada?¹⁰ Zaś kanclerz G. Schröder dodawał, że konieczna jest debata o tym, jakie skutki może mieć zrealizowanie tego projektu dla stosunków z Rosją. Domagał się też rozmów USA z Rosją, przy udziale Europy na temat bezpieczeństwa europejskiego¹¹.

Te pytania i postulaty politycy niemieccy kierowali już do nowej administracji amerykańskiej, która w styczniu 2001 r. przejęła władzę w Białym Domu. Republikański prezydent George W. Bush jr nie miał najlepszych notowań w Niemczech. Jako konserwatysta, zwolennik kary śmierci, przeciwnik aborcji i badań nad embrionem nie wzbudzał zachwyty ani niemieckiej opinii publicznej, ani przywódców politycznych. Prasa niemiecka rozpisywała się na ten temat, kreując wizerunek G. Busha jako fanatyka religijnego. Pierwsze sto dni urzędowania G. Busha wskazywały ponadto, że jest on zwolennikiem działań unilateralnych, uwzględniających przede wszystkim żywotne interesy Ameryki i jej punkt widzenia. Tak bowiem oceniono w Niemczech odrzucenie przez USA protokołu z Kioto o obniżeniu poziomu emisji gazów cieplarnianych. Równie krytycznie komentowano fakt, że administracja G. Busha, nie chcąc, aby amerykańscy obywatele podlegali jurysdykcji międzynarodowej, odmówiła podpisania konwencji o powołaniu Międzynarodowego Trybunału Karnego. Także zapowiedź jednostronnego wycofania wojsk amerykańskich z Bośni (ostatecznie nie została zrealizowana) spotęgowała niechęć wobec republikańskiego prezydenta, któremu zarzucono brak konsultacji z Europą w tej tak ważnej dla utrzymania stabilizacji na Bałkanach sprawie.

Jednak przyczyną największych wówczas zawirowań na linii Ameryka – Niemcy okazała się odziedziczona po poprzedniku koncepcja „tarczy antyrakietowej”. Sądząc po wcześniejszych wypowiedziach G. Busha, nie ulegało wątpliwości, że budowa systemu przeciwrakietowego będzie jednym z najważniejszych priorytetów nowej administracji. Do niej więc niemieccy politycy kierowali swe kontrargumenty i zastrzeżenia wobec *NMD*, w których podkreślali obawy o reakcję Rosji. Ekipa G. Busha wydawała się jednak w mniejszym stopniu niż Niemcy uwzględniać

¹⁰ Munich Conference on European Security Policy, <http://www.defenselink.mil>.

¹¹ Europa und die NATO, <http://www.zet.de/reden/200107>.

w swych kalkulacjach interesy Moskwy. Takie stanowisko było trudne do zaakceptowania dla Niemców. Nie ma przesady w twierdzeniu, że ich niechęć do „tarczy antyrakietowej” przypominała protesty pacyfistycznej lewicy, na jakie w latach 80. napotykały amerykańskie plany rozmieszczenia w Europie rakiet średniego zasięgu *Pershing* i pocisków *Cruise*. Jednak w latach 80. protestowano, bo obawiano się o bezpieczeństwo Europy, która znalazła się w zasięgu instalowanych rakiet. Teraz nerwowość w Berlinie wywoływała obawa o interesy rosyjskie.

Z kolei reakcja Berlina na atak terrorystyczny 11 września 2001 r. oraz zadeklarowana przez kanclerza G. Schrödera „nieograniczona solidarność” z USA i gotowość do udziału w akcji militarnej idealnie wpisywały się w tradycję bliskich relacji amerykańsko-niemieckich. Był to jednak odruch niemalże naturalny, zgodny z atmosferą powszechnego współczucia i poparcia, jakie świat okazał Amerykanom po ataku terrorystycznym. Następnie kanclerz zgłosił gotowość swego kraju do udziału w akcji militarnej, której legitymizację stanowiło bezprecedensowe w dziejach *NATO* wprowadzenie w życie art. 5 Traktatu Waszyngtońskiego (a także mandat ONZ). Należy uznać, że wszystko to czyniono w Berlinie z pełnym przekonaniem. Świadczył o tym chociażby fakt, że kanclerz był gotowy zaryzykować nawet upadek swego rządu, aby przeforsować w *Bundestagu* udział niemieckich żołnierzy w planowanej przez Amerykanów akcji militarnej w Afganistanie. Bowiernie zamierzenia te spotkały się z krytyczną reakcją znacznej części społeczeństwa niemieckiego. Interwencję w Afganistanie uważano za akt agresji wymierzonej przeciwko suwerennemu, choć uprawiającemu dyktatorską politykę państwu. Zastrzeżenia te trudno było uznać za całkowicie nieuzasadnione, zwłaszcza że zgłaszali je przedstawiciele narodu obciążonego haniebną przeszłością.

Z drugiej strony, deklarując wolę uczestnictwa w działaniach zbrojnych przeciwko talibom, nawet za cenę pójścia „pod prąd” społecznym nastrojom, rząd *SPD*-Zieloni kierował się nie tylko zobowiązaniami sojuszniczymi i lojalnością wobec USA. Zaważyła też rosnąca odpowiedzialność Berlina za bezpieczeństwo i sytuację międzynarodową oraz poczucie politycznej rangi Niemiec. „Właśnie my, Niemcy – mówił kanclerz w *Bundestagu* 11 października 2001 r. – którzy dzięki pomocy i solidarności naszych (...) przyjaciół oraz partnerów mogliśmy przezwyciężyć skutki dwóch wojen światowych, odzyskać wolność i suwerenność, jesteśmy teraz zobowiązani do podjęcia odpowiedzialności bez ograniczeń”¹². Było to wyraźne potwierdzenie nowych aspiracji Niemiec i poczucie silnej pozycji na arenie międzynarodowej – jesteśmy zobowiązani do działania nie tyle przez lojalność dla USA, ale ze względu na naszą obecną rangę i rolę.

Nowy rozdział w stosunkach amerykańsko-niemieckich rozpoczął się wraz z ogłoszeniem w 2002 r. tzw. doktryny Busha oraz wyznaczeniem kolejnego etapu

¹² Regierungserklärung von Bundeskanzler Schröder zur aktuellen Lage nach Beginn der Operation gegen den internationalen Terrorismus in Afganistan, http://www.bundesregierung.dr/dokumente/Rede/ix_59425.htm?

walki z międzynarodowym terroryzmem – rozprawienie się z reżimem Saddama Husajna¹³. Niemcy nie kryli wątpliwości co do rozszerzenia zasięgu operacji antyterrorystycznej oraz taktyki amerykańskiej. Minister obrony Rudolf Scharping stwierdził, że rozwiązanie problemu, jakim dla świata jest iracki dyktator, nie należy zaczynać od ataku militarnego. Nawet Karl Lammers, ekspert CDU ds. zagranicznych, znany do tej pory raczej z proamerykańskich sympatii, apelował do Waszyngtonu o wciągnięcie Europejczyków do strategicznego planowania akcji antyterrorystycznych. „Nie może być tak, że wy decydujecie, a my to wykonujemy” – mówił K. Lammers podczas dorocznej konferencji poświęconej kwestiom bezpieczeństwa i obrony w Monachium¹⁴.

Nie ulegało więc wątpliwości, że choć RFN solidaryzowała się politycznie z Waszyngtonem w walce z terroryzmem, to jednak miała coraz więcej pretensji do amerykańskiego sojusznika – o unilateralizm, brak konsultacji, wyznaczanie fałszywych celów walki. Zwłaszcza forsowanie siłowego sposobu rozwiązania problemu terroryzmu bez prób sięgnięcia do jego korzeni stało się przedmiotem krytyki ze strony niemieckiej lewicy. „Czy – oprócz wojny z terrorystami – nie należy też zapobiegać rozwijaniu się terroryzmu w rozpadających się państwach, angażując się tam ekonomicznie i politycznie? (...) Czy nie powinniśmy stworzyć sprawiedliwego ładu ekonomicznego, ułatwiającego krajom rozwijającym się dostęp do naszych rynków? – zastanawiał się w iście idealistycznym duchu szef niemieckiej dyplomacji J. Fischer. Czy działanie na własną rękę ma przyszłość? Myślę, że nie”. Tak więc starano się przywrócić obraz Niemiec działających przede wszystkim jak *Zivilmacht*.

Widać było, że Niemcy nie zamierzają już dłużej opierać się pokusie przyjmowania w stosunkach z USA postawy bardziej niezależnej niż dotąd, co więcej stają się niezwykle krytyczni wobec pewnych cech polityki amerykańskiej. „Niemcy nie mogą zaakceptować sytuacji, gdy jeden kraj dyktuje, którą drogą, a inni muszą potakiwać” – stwierdził bez ogródek Karsten D. Voigt, koordynator ds. współpracy niemiecko-amerykańskiej w MSZ. Także przedstawiciel opozycji Wolfgang Bosbach z CDU wypowiedział się w podobnym duchu: „Nieograniczona solidarność z USA nie może oznaczać, że Ameryka wydaje rozkazy, a my maszerujemy”¹⁵.

Narastająca krytyka pod adresem Ameryki ze strony przedstawicieli niemieckiego *establishmentu* politycznego szła w parze z nasilającym się antyamerykaniz-

¹³ Zob. J. Kiwerska, *Neokonserwatywna polityka George'a W. Busha. Założenia, realizacja i skutki*, Zeszyty Instytutu Zachodniego, nr 38/2005, s. 38-46.

¹⁴ Munich Conference on Security Policy, 3 II 2002, <http://www.nato.int/docu/speech/2002/s020203a.htm>; zob. też art. M. Naumanna, *Ein Krieg wider Willen. Mit Amerika gegen den Terrorismus, aber nicht gegen den Irak: Die deutsche Bündnistreue hat ihre Grenzen*, „Die Zeit” 8 XI 2001.

¹⁵ Zob. krytyczne opinie i wypowiedzi w: [.../index.php?url=deutschland&datei=newshow.php&newsid=reuters-or.MTFH58900_200](http://www.heute.t-online.de/ZDFheute/artikel_drucken/1,1265,175842,00.html); także [.../printpage.asp&rub={9E7BDE69-469E-11D4-AE7B-0008C7F31E1E}&doc={F095F24F}](http://www.heute.t-online.de/ZDFheute/artikel_drucken/1,1265,175842,00.html); zob. też wypowiedź Ernst-Otto Czempel dla ZDFheute w: http://www.heute.t-online.de/ZDFheute/artikel_drucken/1,1265,175842,00.html.

mem niemieckiej opinii publicznej. Wyniki sondażu z maja 2002 r. wskazywały, że Niemcy są wśród Europejczyków najbardziej krytyczni wobec G. Busha i polityki amerykańskiej. Połowa ankietowanych oceniała G. Busha negatywnie, a tylko 19% pozytywnie; dwie trzecie było zdania, że amerykańskie interwencje służą wyłącznie interesom Stanów Zjednoczonych. Aż trzy czwarte pytanych uznało, że Ameryka za bardzo miesza się w sprawy innych krajów¹⁶. W tej sytuacji nie dziwi fakt, że gdy 22 maja 2002 r. prezydent G. Bush rozpoczynał swą pierwszą wizytę w Niemczech, kilkaset tysięcy głównie młodych Niemców protestowało na ulicach przeciwko wizycie „podżegacza wojennego”. Pojawiły się plakaty, na których widniał wizerunek G. Busha na tle płonących wież *World Trade Center*, a obok postać Hitlera z palącym się za plecami *Reistagiem*¹⁷.

Potęgowała się też krytyka wśród przedstawicieli niemieckiego *establishmentu*. Helmut Schmidt w sierpniu 2002 r. na łamach „Die Zeit” napisał wręcz, że „nigdy amerykańska polityka zagraniczna nie była tak imperialna”, a następnie zaapelował, aby „nie klękać przed Ameryką”¹⁸. Następnie kanclerz G. Schröder zdecydował się zdyskontować w kampanii wyborczej do *Bundestagu* niechęć większości Niemców do wojny z Irakiem, do prezydenta G. Busha i polityki amerykańskiej. Zagrał więc na zastarzanych antyamerykańskich emocjach wyborców lewicowych, pacyfistów i nacjonalistów, ale też ogarniającej nowe grupy społeczne fali antyamerykanizmu w Niemczech. Nie tylko dał się jej ponieść, ale ją z premedytacją wykorzystał. Po raz pierwszy uczyniła tak rządząca koalicja.

W gorącej fazie kampanii wyborczej lider socjaldemokratów bezpośrednio zaatakował sojusznika zza Atlantyku przeciwstawiając pojęciu *american way of politics* koncepcję *deutsche Weg*. W kolejnych wystąpieniach przedwyborczych politycy koalicji SPD-Zieloni nie ustawiali w krytyce Waszyngtonu i zapewnieniach, że RFN nie poprze militarnego „awanturnictwa” w Iraku. Granie na emocjach antyamerykańskich sięgnęło zenitu w momencie, gdy minister sprawiedliwości Herta Däubler-Gmelin z SPD przyrównała polityczne metody Busha do Hitlera. Jej zdaniem prezydent USA usiłuje odwrócić uwagę Amerykanów od problemów gospodarczych i społecznych, forsując przygotowania do wojny z Irakiem. „To popularna metoda. Stosował ją już Hitler” – miała powiedzieć według „Schwäbisches Tagblatt” minister rządu niemieckiego.

Stosunki między Waszyngtonem a Berlinem znalazły się więc w najgorszym w dziejach RFN stadium. Doradca prezydenta ds. bezpieczeństwa narodowego Condoleezza Rice nazwała je „stosunkami zatrutymi” (*poisoned relations*)¹⁹. Określenie to, powtórzone następnie przez sekretarza obrony Donalda Rumsfelda,

¹⁶ Cyt. w: S. Berg, R. Beste i in., *Das beschädigte Paradies*, „Der Spiegel” 18 V 2002.

¹⁷ Więcej o atmosferze niechęci, wręcz wrogości wobec Busha zob. H. Kulick, *Alle(s) halb so wild?*, <http://www.spiegel.de/politik/deutschland/0,1518,197088,00.html>

¹⁸ H. Schmidt, *Europa braucht kein Vormund*, „Die Zeit” 1 VIII 2002.

¹⁹ Cyt. w: R. Wolffe, H. Simonian, H. Williamson, *US condemns „poisoned” relations with Berlin*, „Financial Times” 21 IX 2002.

stało się niemal obowiązującym terminem w odniesieniu do stanu relacji amerykańsko-niemieckich na jesieni 2002 r.

Relacje te zostały poddane dalszym turbulencjom w momencie, gdy Berlin znalazł się na przełomie 2002 i 2003 r., obok Paryża i Moskwy, wśród architektów tzw. frontu odmowy, ostro sprzeciwiającego się amerykańskim planom militarnym wobec Iraku. Niemcy przyczyniły się też w lutym 2003 r. do największego w dziejach *NATO* kryzysu decyzyjnego, gdy to wraz z Francją i Belgią nie chciały przystać na prośbę USA i zgodzić się na zastosowanie art. 4 Traktatu Waszyngtońskiego wobec Turcji. Następnie w marcu 2003 r. RFN współuczestniczyła w skutecznym blokowaniu amerykańskiej rezolucji w sprawie Iraku na forum Rady Bezpieczeństwa NZ. Innymi słowy, narastający antyamerykanizm w społeczeństwie niemieckim znalazł po raz pierwszy tak silne odbicie w polityce zagranicznej RFN.

W takiej atmosferze określenie „amerykański” zaczęło nabierać wymowy epitetu. Ameryka Busha stała się obiektem niewyobrażalnej krytyki i niechęci niemieckiej opinii publicznej. Uznano ją za mocarstwo, które nie szanuje norm i zasad porządku międzynarodowego, postępuje w sposób arbitralny i imperialny. Tak jak kiedyś określano się w opozycji do Związku Radzieckiego i komunizmu, tak teraz większość Niemców odnalazła nowe główne zagrożenie w polityce amerykańskiej.

Trudno pominąć ogromną odpowiedzialność Ameryki za narastający rozłam i to nie tylko między Waszyngtonem a Berlinem, ale też innymi stolicami europejskimi. Wszak realizowana przez administrację Busha strategia neokonserwatystów, łącząca – obok idealizmu i wizjonerstwa – szkodliwe elementy unilateralizmu, hegemonii i dominacji siły, spotkała się z szeroką krytyką w świecie. Wprowadzała ona bowiem zamęt do obowiązujących dotychczas zasad działania międzynarodowego i kreowała z Ameryki symbol arogancji, pychy, a nawet zagrożenia. Naturalny opór wyzwała sytuacja, gdy to administracja Busha narzucała sojusznikom cel i metody działania w myśl logiki: to my decydujemy, kto jest zagrożeniem dla świata. W warunkach pozimnowojennych wydawało się to zasadą zaiste imperialną, dążeniem do dominacji w świecie, realizowaniem własnych interesów politycznych i ekonomicznych²⁰.

Z kolei Niemcy nie byli w stanie zrozumieć w pełni psychologicznych uwarunkowań strategii i taktyki Busha, która działała w atmosferze traumy 11 września 2001 r. To właśnie utrata poczucia bezpieczeństwa przez Amerykanów, tak naprawdę po raz pierwszy w ich dziejach, determinowała politykę zagraniczną, której wyrazem była „doktryna Busha”. Tymczasem Niemcy (Europa), nie negując zagrożenia terroryzmem, ale też traktując go z pewną pobłażliwością – wszak zagrożona jest głównie Ameryka, nie zamierzali zmieniać swoich preferencji w polityce zagranicznej, gdzie priorytetem pozostała integracja europej-

²⁰ Zob. J. Kiwerska, *Odwrót od rewolucji? Nowe elementy w amerykańskiej polityce zagranicznej*, Zeszyty Instytutu Zachodniego, nr 43/2006, s. 11-14.

ska, a metodą jej realizacji zabiegi dyplomatyczne, a nie zbrojna krucjata przeciwko terroryzmowi, czy wprowadzanie na siłę demokracji w odległych częściach świata.

Zwłaszcza opcja siłowa budziła zastrzeżenia Niemców. I nie chodziło tylko o przyczyny, które Robert Kagan ujął w zgrabną formułę: Amerykanie są z Marsa, a Europejczycy z Wenus²¹. Niemieckie społeczeństwo, przynajmniej w odniesieniu do elity intelektualnej, pozostało świadome haniebnej przeszłości, dla niego hasło „nigdy więcej wojny” stanowiło ważny, uwarunkowany obciążeniem historycznym paradygmat. Ale i R. Kagan miał rację: Niemcy (Europejczycy) żyjący zasobnie i wygodnie w pacyfistycznej atmosferze trwającej kilka dziesięcioleci z ogromnym niepokojem przyjmowali sugestie Waszyngtonu, że świat stawia wyzwania, których nie da się rozwiązać bez użycia siły.

Ale ta antyamerykańska postawa Berlina nie była tylko sprzeciwem wobec użycia siły i odrzucenia wojny, jako sposobu rozwiązania kryzysu irackiego – czyli wolą odwołania się do zasady *Zivilmacht*, tak popularnej w RFN. Nie chodziło też wyłącznie o to, że odmawiając udziału w ewentualnej akcji zbrojnej przeciwko Bagdadowi, G. Schröder postępował zgodnie z tym, co myślała większość Niemców (przyniosło mu to zresztą zwycięstwo wyborcze we wrześniu 2002 r.). Ta wyjątkowo konfrontacyjna wobec Waszyngtonu postawa była wyrazem swoistego buntu przeciwko amerykańskiemu przywództwu, odreagowaniem kompleksów i utajonych urazów wobec siły i dominacji USA. Szefostwo koalicji SPD-Zieloni doszło do przekonania, że Niemcy mają prawo do emancypacji od Ameryki i nieposłuszeństwa wobec celów i sugestii płynących z Waszyngtonu, tym bardziej jeśli nie odpowiadają one niemieckim priorytetom i są przedstawiane w sposób dość arogancki, nie znoszący sprzeciwu.

Co spowodowało, że władze niemieckie z taką łatwością i skwapliwością najpierw odwołały się do antyamerykanizmu w kampanii wyborczej, a następnie aktywnie uczestniczyły we „froncie odmowy”, skupiając wokół siebie przeciwników polityki amerykańskiej? Zadecydowało o tym kilka czynników.

Po pierwsze, przywódcy koalicji „czerwono-zielonej” byli politykami zupełnie nowej kategorii. Nie należeli do generacji, która budowała powojenne stosunki amerykańsko-niemieckie i która wiele zawdzięczała patronowi amerykańskiemu. Tamta generacja Niemców uznała za swój nadrzędny cel uzyskanie wiarygodności i opinii stałego w przekonaniach oraz działaniach państwa Europy i członka *NATO*. Natomiast G. Schröder i J. Fischer byli przedstawicielami pokolenia, które kształtowały protesty przeciwko amerykańskiej polityce w Wietnamie. Dlatego było im łatwiej krytycznie oceniać Stany Zjednoczone i ich politykę, a nawet wykorzystać tę krytykę jako element kampanii wyborczej – po raz pierwszy w dziejach RFN.

Po drugie, postawa polityków rządzącej koalicji była też konsekwencją zmiany, jaka dokonała się w niemieckim myśleniu o roli i pozycji ich kraju w świecie. Pod rządami G. Schrödera i J. Fischera, reprezentantów pokolenia ukształtowanego

²¹ R. Kagan, *Potega i raj. Ameryka i Europa w nowym porządku świata*, Warszawa 2003, s. 9 i n.

całkowicie w warunkach powojennej demokracji, nastąpiło zdyskontowanie faktu, że Niemcy są już krajem w pełni suwerennym i „normalnym”, a do tego największym oraz najsilniejszym w Europie. Z jednej strony oznaczało to, że w sytuacjach konfliktowych RFN może i musi współdziałać z innymi mocarstwami, nie powinna też unikać odpowiedzialności. Tak stało się w przypadku Kosowa i Afganistanu. Z drugiej zaś – płynące stąd poczucie siły i rangi rodziło wolę zachowań niezależnych, a nawet konfrontacyjnych. W wielu sprawach i sytuacjach Niemcy zachowały się wobec USA niezwykle lojalnie, ryzykując nawet – jak w przypadku Afganistanu – burzę polityczną w *Bundestagu*. Była to – zdaniem polityków niemieckich – swoista legitymacja partnerskiej wiarygodności, która upoważniała do bardziej niezależnych postaw w innych sytuacjach. „Niemcy powinny brać udział w międzynarodowych operacjach pokojowych, ale to nie znaczy, że za każdym razem musimy mówić ‘tak’ dla amerykańskich planów interwencji. Trzeba rozważać argumenty” – kwitował tę nową jakość K. D. Voigt²².

Tak więc, Berlin uznał, że opłaca się przyjąć nawet konfrontacyjną wobec Waszyngtonu postawę. Nie tylko ze względów wewnętrznych, ale też zewnętrznych. „Front odmowy” posiadał bowiem dużą siłę przyciągania dla różnych – dotychczas nawet odległych, jeśli idzie o interesy – państw. Dawał Niemcom możliwość realizacji własnych, partykularnych celów, budowania swej nowej rangi w Europie, jeśli nie na fundamencie antyamerykanizmu, to przynajmniej w opozycji do USA. Manifestując swą niezależność polityczną od Ameryki, a nawet krytyczny wobec niej stosunek Berlin miał poczucie (złudzenie) odgrywania ważnej roli w polityce światowej. Niemcy, podążając śladem Francji zdawały się marzyć o tym, aby stać się w Europie przeciw wagą dla Ameryki – tak jak podczas zimnej wojny był Związek Radziecki.

Trudno jednak było uciec od pytań o konsekwencje działań przywódców niemieckich. Czy nie było to – jak sugerował jeden z niemieckich komentatorów – „niebezpieczne igranie z ogniem” (*ein gefährliches Spiel mit dem Feuer*)²³?

Po pierwsze, Stany Zjednoczone pozostały przecież supermocarstwem o ogromnej sile oddziaływania i dlatego dobre z nimi relacje leżały dalej w politycznym i gospodarczym interesie Niemiec. Pozycja budowana na antyamerykanizmie mogła być iluzoryczna.

Po drugie, władze niemieckie wykazując brak lojalności, przyjmując konfrontacyjny wobec Waszyngtonu kurs i doprowadzając do tak drastycznego pogorszenia wzajemnych relacji utraciły możliwość oddziaływania na amerykańską politykę. Dotychczas Niemcy często balansowały między USA a Francją, pełniąc wartościową rolę „pomostu”; starały się być wierne obowiązującej od czasów Konrada Adenauera zasadzie – unikania wyboru między Waszyngtonem a Paryżem.

²² Wywiad A. Rubinowicz z K. D. Voigtem, „Gazeta Wyborcza” 28-29 IX 2002.

²³ U. Poschardt, *Lieben oder hassen wir Amerikaner?*, „Welt am Sonntag” 29 IX 2002.

Opowiadając się – po raz pierwszy – w tak jednoznaczny sposób po stronie Paryża (i Moskwy) przeciwko Waszyngtonowi ten atut zatraciły.

Po trzecie, nowo proklamowana przez Berlin „niemiecka droga”, nawet jeśli nie budziła skojarzeń ze znaną z przeszłości *Sonderweg*, to stanowiła wyzwanie i dla Stanów Zjednoczonych i dla Europy. Przede wszystkim rodziło się przypuszczenie, że pewien rodzaj antyamerykanizmu może stać się trwałą cechą niemieckiej polityki. Zwłaszcza, że znalazł on poklask zarówno wśród znaczącej części niemieckiej elity intelektualnej, z laureatem literackiej Nagrody Nobla – Günterem Grassem na czele²⁴, jak i szerokich rzesz społeczeństwa – od prawa do lewa. Przyjmując perspektywę psychologiczną można było odnieść wrażenie, że jest tu obecny swego rodzaju kompleks Ameryki – następuje odreagowanie amerykańskiej dominacji, a także pojawiło się uczucie mające swe najlepsze określenie w języku niemieckim *Hassliebe*.

Wreszcie, wiele faktów wskazywało, że korzenie amerykańsko-niemieckiego rozłamu sięgały głębiej niż tylko w warstwę wyborczej propagandy, amerykańskiego unilateralizmu i różnicy zdań w sprawie polityki wobec Iraku. Trudno było wykluczyć możliwość, że „niemiecka droga” – jak sugerował H. Kissinger – to „koniec zgody na przywództwo Francji w sprawach europejskich, która była cechą charakterystyczną niemieckiej polityki przed zjednoczeniem”²⁵. Można było teraz ponownie stawiać pytanie o niemieckie ambicje do przeprowadzenia w Europie, a także o kierunek rozwoju Sojuszu Północnoatlantyckiego, w którym dwóch tak ważnych uczestników dzielił największy w ich powojennych dziejach dystans. Czy niemieccy przywódcy, podobnie jak wcześniej Francja, nie zaczną podważać zasadność utrzymania amerykańskiego zaangażowania w bezpieczeństwo europejskie? Wszystko to mogło źle wróżyć przyszłości Europy, a także pozycji Niemiec na arenie międzynarodowej.

Wobec skali kryzysu w stosunkach amerykańsko-niemieckich potrzeba było jednak czasu, zmiany wzajemnego nastawienia i nowych okoliczności, aby przynajmniej nastąpiła ich poprawa. Czas spowodował, że obniżyła się temperatura polemik politycznych i pojawiły się gesty sugerujące wolę odbudowy relacji. Jednak prawdziwego przełomu nie było. Przeszkadzała temu wzajemna niechęć i utrzymująca się różnica zdań co do celów, kierunku i stylu uprawiania polityki zagranicznej. Czyli różnice odnoszące się do spraw zasadniczych.

Zresztą pomimo gestów kanclerza G. Schrödera po drugiej stronie brakowało rzeczywistej woli pojednania. Prezydent G. Bush, dotknięty do żywego porównaniem go do Hitlera, a także faktem, że to właśnie Niemcy stały się tak nieoljalne, przez długi czas nie przyjmował pojednawczych gestów niemieckiego kanclerza,

²⁴ W jednej ze swych wypowiedzi G. Grass przyrównał motywy działań prezydenta G. Busha do tych, które inspirowały Osamę bin Ladena (*religiös fanatischer Hintergrund*), cyt. w: U. Poschardt, *Lieben oder hassen wir Amerikaner?...*

²⁵ H. Kissinger, *Sojusz na rozstajach*, „Rzeczpospolita” 26-27 X 2002; zob. też: *Why Gerhard Schröder Has Gone Out on Limb*, „The Economist” 25 IX 2002.

wręcz go ignorował. Wbrew tradycji nie pogratulował osobiście zwycięstwa wyborczego G. Schröderowi, odmówił spotkania z nim podczas swojej wizyty na kontynencie europejskim w czerwcu 2003 r. Na tym etapie sporu najważniejszym okazało się więc przełamanie osobistych urazów i wyciszenie emocji.

Dopiero 24 września 2003 r. doszło w Nowym Jorku do pierwszego od czasu zawirowań wokół Iraku spotkania dwóch liderów. Choć na zakończenie godzinnej rozmowy obaj uznali, że kryzys w stosunkach został przezwyciężony i zamierzają teraz współpracować, to jednak wielu obserwatorów nie odnotowało powrotu do tego, co było przed kryzysem. Potrzeba było naprawdę nowych impulsów, aby zaczął się kształtować lepszy obraz amerykańsko-niemieckich relacji²⁶.

Nowe okoliczności pojawiły się na początku drugiej kadencji G. Busha. Było to związane z zasadniczą korektą amerykańskiej polityki zagranicznej. Stało się tak pod wpływem dramatycznej weryfikacji „doktryny Busha” w Iraku, gdzie mimo zaangażowanych sił militarnych, poniesionych ofiar i włożonych środków finansowych nie udało się Amerykanom ustabilizować sytuacji. Ameryka płaciła wysokie koszty polityki neokonserwatystów, nastąpiło osłabienie pozycji USA w świecie, nigdy wcześniej nie miały one tak złego wizerunku w opinii światowej, nie wyzwały tak niechętnych emocji. Ameryka straciła wiele ze swej atrakcyjności i tzw. miękkiej władzy, zyskała natomiast miano hegemonia, siłą narzucającego swą wolę. Strategia realizowana przez administrację Busha, zamiast umocnić bezpieczeństwo Ameryki, doprowadziła do eskalacji terroryzmu, wzrostu wrogości wobec USA i prób ich izolacji na arenie międzynarodowej²⁷.

Równocześnie niezwykle groźne fakty zaczęły kształtować i tak już trudną sytuację w świecie. Obok nierozstrzygniętej, a nawet od dłuższego czasu pozbawionej spektakularnych sukcesów wojny z terroryzmem, na horyzoncie pojawiły się w nowej, drastyczniejszej skali zagrożenia związane z programem atomowym Korei Północnej i Iranu, zaognieniem konfliktu bliskowschodniego, aktywnością talibów w Afganistanie.

Efektom było odejście od strategii neokonserwatystów i konstatacja faktu, że nawet najpotężniejsze mocarstwo świata nie jest w stanie samodzielnie poddać wszystkim nowym wyzwaniom i z sukcesem zmierzyć się z narastającymi zagrożeniami. Potrzeba pomocy zarówno sojuszników, jak i organizacji międzynarodowych. W działaniach na arenie światowej liczy się nie tylko siła i gotowość jej użycia, ale również dyplomacja, negocjacje i zdolność do kompromisu.

To zadecydowało, że administracja Busha zwróciła się w stronę Europy, uznając wagę i znaczenie układu transatlantyckiego. Obiektem szczególnego zainteresowa-

²⁶ F.-J. Meiers, *Zwischen Partnerschaft und Widerspruch. Die deutsch-amerikanischen Beziehungen seit dem 11. September 2001*, Discussion Paper C165 (2006), Zentrum für Europäische Integrationsforschung, Bonn, s. 11-12.

²⁷ Zob. J. Kiwerska, *Odwrót od rewolucji?...*, s. 14-18.

nia stała się ponownie RFN, jako czołowy element partnerstwa transatlantyckiego. W rachubach amerykańskich wartość Niemiec wzrosła też w związku z komplikującą się sytuacją w Afganistanie i koniecznością wzmocnienia tam wojskowego kontyngentu sił międzynarodowych. Amerykanie nadal liczyli na pomoc w Iraku, przynajmniej w zakresie szkolenia irackich sił bezpieczeństwa.

Z kolei po stronie niemieckiej pod uwagę brano zrealizowanie określonych zadań związanych z aspiracjami G. Schrödera uzyskania dla RFN stałego miejsca w Radzie Bezpieczeństwa. Trudno było sobie wyobrazić osiągnięcie tego celu bez porozumienia z Waszyngtonem i uzyskania jego poparcia. Trudno też było nie zabiegać o poprawę wzajemnych relacji w sytuacji, gdy Niemcy łączyły z USA niezwykle ważne interesy gospodarcze. Poza tym reelekcja G. Busha w listopadzie 2004 r. (przyjęta w Berlinie, podobnie jak w wielu innych stolicach europejskich, z najwyższą niechęcią) przesądziła o tym, że to on pozostanie przywódcą najsilniejszego państwa świata i z nim trzeba będzie przez najbliższe 4 lata „robić interesy”. Władze niemieckie nie miały też wątpliwości, że wobec narastających wyzwań i komplikującej się sytuacji w świecie, współdziałanie transatlantyckie jest konieczne.

Zresztą G. Schröder, choć mógł odczuwać swoiste *Schadenfreude* z powodu prestiżowych porażek supermocarstwa w Iraku, to czuł się już wystarczająco źle z opinią, że wprowadził relacje amerykańsko-niemieckie w stan „zatrucia” i stał się czynnikiem rozbijania Europy oraz układu transatlantyckiego. Osłabiało to bowiem pozycję Niemiec na kontynencie, utrudniało relacje Berlina z wieloma państwami proamerykańskimi, zwłaszcza w Europie Wschodniej, nie dając w zamian większych profitów politycznych.

Dlatego przyjmując w Berlinie na początku lutego 2005 r. sekretarz stanu C. Rice kanclerz zapewniał, że jest gotowy puścić w niepamięć spory z przeszłości i współdziałać w kluczowych sprawach. W wystąpieniach C. Rice zaś zabrzmiały nowe tony, gdy mówiła o partnerstwie z Europą i amerykańskim uznaniu dla integracyjnych wysiłków na kontynencie. Znamienne również było to, że właśnie Europę wybrał prezydent G. Bush jako cel wizyty inauguracyjnej jego drugiej kadencji w Białym Domu, a na trasie podróży znalazły się także Niemcy. Amerykański prezydent, odwiedzając 23 lutego 2005 r. Moguncję, nawiązywał do szczególnego wydarzenia. Otóż, w tym właśnie mieście jego ojciec George Bush senior, krótko po zjednoczeniu, zaproponował Niemcom „partnerstwo w przywództwie”. Tym razem Moguncja została wybrana, aby można było ogłosić „nowy początek” we wzajemnych relacjach. W sferze symbolicznej oznaczało to, że obie strony starały się faktycznie odbudować zerwaną więź.

G. Bush, jakby parafrazując słowa swego ojca sprzed kilkunastu lat nazywał Niemcy „partnerem w pokoju, partnerem w wolności i partnerem, który wypełnia swoje obowiązki”. Kanclerz z kolei dowodził, że jest „bardzo zadowolony z pełnego

sukcesu spotkania i przyjacielskiej rozmowy” z amerykańskim prezydentem²⁸. Komentatorzy byli zgodni: w stosunkach amerykańsko-niemieckich przełamano kryzys i zaczęto wychodzić z klinczu²⁹.

Miało to szczególne znaczenie wobec zagrożenia związanego z irańskim programem atomowym. Od lata 2003 r. Francja, Wielka Brytania i właśnie Niemcy prowadziły negocjacje z Teheranem. Początkowo G. Bush był krytyczny wobec tych rozmów, uważając je za stratę czasu. Całkiem realna była więc opcja siłowa. Jednak nowe uwarunkowania amerykańskiej polityki zagranicznej wywołane sytuacją w Iraku i osłabioną reputacją USA na arenie międzynarodowej spowodowały zmianę podejścia Waszyngtonu do problemu Iranu. I to była kolejna okoliczność wpływająca na relacje amerykańsko-niemieckie. Będąc w Europie amerykański prezydent docenił wysiłki „europejskiej trójki” (w październiku 2003 r. Iran zamroził prace w ośrodku atomowym), w pełni je zaakceptował, choć nie wykluczał żadnej opcji. Tym samym w kalkulacjach Waszyngtonu rosła rola Berlina, jako jednego z negocjatorów w tych ważnych dla bezpieczeństwa światowego rozmowach. Co więcej, tworzył się wspólny front Ameryki i Niemiec (Europy) wobec irańskiego programu nuklearnego.

Jednak przy wszystkich wysiłkach na rzecz powrotu do normalności we wzajemnych stosunkach, mimo pojednawczych gestów i ogłaszania „nowego początku”, to między G. Bushem a G. Schröderem utrzymywała się wyraźna niechęć i nieufność. Amerykański prezydent czuł się zdradzony przez kanclerza Niemiec. A dla polityka, który tak jak G. Bush przywiązywał ogromną wagę do lojalności, ta zdrada miała ogromne znaczenie. Z kolei kanclerz Niemiec brak dobrych kontaktów osobistych z prezydentem G. Bushem kompensował sobie nadzwyczaj serdecznymi relacjami z przywódcą Rosji. Bliski sojusz rosyjsko-niemiecki nie był faktem, który wzbudzał jakieś szczególne zatroskanie w Waszyngtonie. Dowodził jednak istnienia pewnej alternatywy, którą G. Schröder realizował z wielkim zapałem, pomijając nie tylko ewentualne zastrzeżenia USA, ale nawet obawy wschodnioeuropejskich sąsiadów. Na porozumieniu z Putinem budował pozycję Niemiec w Europie i świecie.

Element personalny pojawił się ponownie w grze na jesieni 2005 r., gdy urząd kanclerski w Berlinie objęła Angela Merkel. Szefowa niemieckiej chadecji od lat znana była ze swej sympatii i lojalności wobec USA. Było to szczególnie znamienne, gdy w opozycji do rządu G. Schrödera i zdecydowanej większości Niemców nie krytykowała amerykańskich zamiarów wobec Iraku. Nawet wbrew niektórym swoim partyjnym kolegom, mocno narażając się niemieckiej opinii publicznej, konsekwentnie wyrażała wolę wspierania Ameryki, powtarzając, że miejsce Berlina jest po stronie Waszyngtonu. W czasie kampanii wyborczej latem

²⁸ President Bush and Chancellor Schroeder Discuss Partnership, 23 II 2005, U.S. Department of State (www.state.gov/p/eur/rls/rm/42600.htm)

²⁹ F.-J. Meiers, *Zwischen Partnerschaft...*, s. 12-13.

2005 r. deklarowała zamiar powrotu do Adenauerowskiej zasady unikania wyboru między Ameryką a Francją. Walcząc o zwycięstwo wyborcze szefowa chadeków miała odwagę dowodzić, że Niemcy nie powinny wybierać między współpracą atlantycką a integracją europejską, lecz dzięki swemu położeniu w sercu kontynentu być pomostem między wyznającymi wspólne wartości Europą i Ameryką. Jej zdaniem wspólna Europa to sposób na lepszą przyszłość, a nie na osłabienie więzi z USA³⁰.

Był jeszcze jeden ważny element związany z osobą A. Merkel. Reprezentowała ona trzecie pokolenie powojenne – nie związane emocjonalnie z proamerykanizmem lat 50. i 60., jak pokolenie H. Kohla, ale też nie ukształtowane przez namiętności '68 roku, w tym silnego antyamerykanizmu, jak było w przypadku G. Schrödera i J. Fischera. Nowa kanclerz urodziła się i wychowała w Niemczech Wschodnich i dla niej Ameryka była bardziej symbolem nadziei niż zagrożenia. Moskwa zaś budziła mniej entuzjastyczne uczucia, bardziej rodziła nieufność i dystans.

Dlatego poprawa relacji z USA została zapowiedziana przez A. Merkel w kampanii wyborczej 2005 r. Po objęciu stanowiska kanclerza w listopadzie 2005 r. starała się tę zapowiedź zrealizować, choć stanęła na czele rządu, utworzonego wspólnie z SPD (ministrem spraw zagranicznych został Frank-Walter Steinmeier, poprzednio bliski współpracownik G. Schrödera). W umowie koalicyjnej znalazły się więc i zapisy o konieczności utrzymania ścisłych stosunków między USA a Europą (Niemcami), ale też podkreślono, że partnerstwo to nie znaczy pełna zgodność w opiniach. Nowy duch ogarniał stare fundamenty.

Wszystko to zostało dostrzeżone w Waszyngtonie. Prezydent G. Bush żywił nieskrywaną sympatię do A. Merkel, nie zapomniał jej proamerykańskiej postawy w „godzinie próby”, i już to dawało nowej kanclerz w relacjach z Amerykanami trudne do przecenienia atuty. Ale też gotowość administracji G. Busha do ożywienia – po okresie otwartego konfliktu – bliskiej współpracy z Berlinem była efektem chłodnej analizy sytuacji, w której brano pod uwagę i trudne położenie w Iraku, i kwestię Iranu, i inne wyzwania, przed którymi stanął Waszyngton.

Konstatacja, że Ameryka potrzebuje pomocy, była punktem wyjścia do uświadomienia sobie jeszcze jednej prawdy odnoszącej się do możliwości europejskich sojuszników. Najwierniejszy z partnerów – Londyn – cierpiał na pogłębiającą się wówczas erozję przywództwa Tony'ego Blaira. Perspektywa jego odejścia z Downing Street wydawała się coraz bliższa, a wobec nastrojów społeczeństwa brytyjskiego trudno było wykluczyć sytuację, w której Stany Zjednoczone nie będą już mogły liczyć na taką jak dotychczas lojalność Wielkiej Brytanii. Na wiosnę 2006 r. premierem we Włoszech przestał być inny wierny sojusznik Ameryki – Silvio Berlusconi. Zaś jego następca Romano Prodi swego czasu ostro krytykował politykę

³⁰ Zob. H. A. Kissinger, *A New Generation in Germany*, „International Herald Tribune” 21 XI 2005.

administracji G. Busha. I choć po objęciu urzędu zapewniał o woli kontynuowania dobrych stosunków z USA, to jednak obserwatorzy nie mieli wątpliwości, że powrotu do atmosfery z czasów S. Berlusconiego nie będzie. Paryż zaś, ze względu na swój tradycyjny antyamerykanizm, a także trwającą walkę o schedę po J. Chiraku, osłabiającą polityczny potencjał Francji, nie był na razie brany pod uwagę w amerykańskich kalkulacjach.

W tej sytuacji Berlin – z perspektywy Waszyngtonu – zaczął grać bardzo ważną rolę. Z A. Merkel jako kanclerzem Niemcy mogły powrócić do roli silnego i dobrego sojusznika Ameryki. Była to kolejna, nowa okoliczność wpływająca na kształt relacji amerykańsko-niemieckich. Zresztą Amerykanie z uznaniem obserwowali zaangażowanie Berlina w negocjacje z Teheranem, które choć nie przynosiły efektu, to jednak potwierdzały rosnącą pozycję Niemiec w świecie. Tę rangę Republiki Federalnej wzmacniała perspektywa objęcia przez nią w styczniu 2007 r. rocznego przywództwa G-8. Zaś w pierwszym półroczu 2007 r. Niemcy miały stanąć na czele Unii Europejskiej. Trudnym do przecenia faktem było także zaangażowanie Niemiec w Afganistanie, gdzie żołnierze *Bundeswehry* stanowili tuż po amerykańskim drugi co do wielkości kontyngent w ramach *NATO* (około 2,5 tys. żołnierzy). Waszyngton nie krył, że ze względu na pogarszającą się sytuację w tym kraju, obecność tam licznych wojsk natowskich miała szczególne znaczenie.

Także dla optyki niemieckiej i osobiście kanclerz A. Merkel poprawa relacji ze Stanami Zjednoczonymi gwarantowała umocnienie pozycji i roli RFN na arenie, nie tylko europejskiej, ale i globalnie. A. Merkel potrzebowała sukcesów w polityce zagranicznej przekonana, że da jej to silniejszy mandat do przewodzenia Niemcom. Wszak jej zwycięstwo wyborcze było nieznaczne. Ten szeroki splot uwarunkowań spowodował, że Ameryka odeszła daleko od swojej taktyki z okresu pierwszej kadencji G. Busha – prób osłabiania pozycji Berlina oraz eksponowania gotowości innych europejskich partnerów do wspierania Waszyngtonu. Zaś Berlin odświeżył Adenauerowski paradygmat polityki zagranicznej i zaktywizował kierunek amerykański.

Potwierdzeniem tego stała się częstotliwość spotkań polityków niemieckich i amerykańskich. Jedną ze swoich pierwszych wizyt po objęciu urzędu kanclerskiego A. Merkel złożyła w połowie stycznia 2006 r. w Waszyngtonie. Znacznie wcześniej, bo już w listopadzie 2005 r. (niemal nazajutrz po ukonstytuowaniu się rządu wielkiej koalicji *CDU/CSU-SPD*) do USA pojechał szef niemieckiej dyplomacji, a w grudniu 2005 r. wizytę w Berlinie złożyła sekretarz stanu C. Rice. W ten sposób powrócono do niepisanej tradycji w stosunkach amerykańsko-niemieckich, gdy to obejmujący swe urzędy najważniejsi politycy RFN składali wizyty „poznawcze” w Waszyngtonie lub szybko podejmowali u siebie amerykańskich partnerów. Komentarze, jakie towarzyszyły tym pierwszym kontaktom na wysokim szczeblu, można było ująć w formule: *US and Germany are close friends and partners*.

Dużym zainteresowaniem komentatorów cieszyły się spotkania A. Merkel z amerykańskimi politykami, i to podczas jej wizyty w Waszyngtonie w styczniu 2006 r., jak i następnej – w maju 2006 r. Nie ulegało wątpliwości, że strona amerykańska uczyniła wiele, aby przywrócić wzajemnym relacjom dawny blask i wartość i co najważniejsze, nadać tym stosunkom nowe akcenty. Administracja G. Busha potraktowała styczniowe spotkanie z szefową niemieckiego rządu nie jako drogę do forsowania własnych preferencji, co wcześniej często się zdarzało, ale jako okazję do wysłuchania jej koncepcji i opinii. Co więcej, nie oburzono się na krytyczne uwagi A. Merkel odnoszące się do kontrowersyjnej kwestii więźniów w Guantanamo. Można było odnieść wrażenie, że nowe władze Niemiec uzyskały wyjątkowy komfort w przedstawianiu własnych poglądów i formułowaniu nawet krytycznych pod adresem Stanów Zjednoczonych sądów³¹. Wydaje się, że wówczas dokonano symbolicznego powrotu do starych, dobrych relacji, ale z nowymi akcentami.

Gdy zaś w maju 2006 r. A. Merkel ponownie zjawiała się nad Potomakiem, do przedyskutowania były już konkretne sprawy – tak jak przystało na poważnych partnerów. Fakt, że odzyskany partner niemiecki zgodził się z amerykańskim punktem widzenia na wiele ważnych kwestii, chociażby konfliktu bliskowschodniego i sposobu postępowania wobec utworzonego przez Hamas rządu Palestyny (nowe władze Autonomii Palestyńskiej muszą się wyrzec stosowania przemocy i uznać prawo Izraela do istnienia) lub konieczności rozbudowy misji pokojowej w Afganistanie, wiele wówczas znaczył dla administracji G. Busha. Dowodził, że osłabiony na gruncie amerykańskim i światowym prezydent ma jednak przyjaciół w Europie.

Za to należała się kanclerz A. Merkel wdzięczność ze strony Waszyngtonu. Dlatego G. Bush przyjął zaproszenie szefowej niemieckiego rządu i jako pierwszy prezydent USA w lipcu 2006 r. odwiedził jedno z miast byłej NRD. Przebieg dwudniowej wizyty G. Busha w Stralsundzie potwierdzał, że przywrócono dobrą atmosferę we wzajemnych stosunkach, i to zarówno w sferze formy, jak i faktów. „Podziwiam panią kanclerz i cieszę się, że mogę ją nazwać swą przyjaciółką. Stojąc ramię w ramię, możemy osiągnąć bardzo wiele” – mówił 13 lipca 2006 r. na rynku w Stralsundzie amerykański przywódca, do niedawna zwolennik unilateralizmu. Z kolei A. Merkel rewanżowała się, dziękując Ameryce za zjednoczenie Niemiec. Jeśli zaś szło o fakty, to oboje zgadzali się w najważniejszych, aktualnych problemach międzynarodowych: Iranu – konieczność przekazania sprawy w gestię ONZ i utrzymania stanowczej polityki; konfliktu bliskowschodniego i zbrojnej interwencji Izraela w Libanie – Izrael ma prawo do obrony przed terroryzmem; zagrożenia nuklearnego ze strony Korei Płn., zagrożenia demokracji w Rosji³².

³¹ *Merkel verlangt Schliessung von Guantanamo*, „Frankfurter Allgemeine Zeitung” 9 I 2006; zob. też: F.-J. Meiers, *Zwischen Partnerschaft...*, s. 15-16.

³² Cyt. w: „Süddeutsche Zeitung” 14 VII 2006.

Przekaz tego lipcowego spotkania A. Merkel i G. Busha był więc dość wyraźny – nastąpiło odrodzenie partnerstwa amerykańsko-niemieckiego, przynajmniej na szczeblu przywódców, bo przecież niemiecka społeczność w swej zdecydowanej większości pozostała nadal antyamerykańska, a przynajmniej antybushowska (kilkuset demonstrantów w Stralsundzie trzymano w bezpiecznej odległości od miejsca spotkania G. Busha i A. Merkel). Ale i to stanowiło niewątpliwie sukces zarówno amerykańskiej, jak niemieckiej polityki zagranicznej.

W styczniu 2007 r., A. Merkel ponownie zjawiała się w Waszyngtonie, niemalże nazajutrz po tym, jak objęła ona prezydencję w UE oraz przywództwo państw G-8. Była to bezprecedensowa rola kanclerza Niemiec, jak i też specjalny charakter tej wizyty. Pani kanclerz chciała pokazać, jak duże znaczenie w tym tak ważnym dla Niemiec półroczu będą miały stosunki transatlantyckie. Tematy, które omawiano, a także atmosfera rozmów dowodziły, że A. Merkel bezapelacyjnie odzyskała to, co przekreślił G. Schröder – możliwość wpływania na amerykańską politykę. Poważne potraktowanie już wtedy przez G. Busha chociażby tematu zmian klimatycznych czy stosunków handlowych UE–USA (niemiecka propozycja „transatlantyckiego partnerstwa gospodarczego”) były tego wyraźnym potwierdzeniem. Oboje liderzy znaleźli wiele wspólnego dyskutując o procesie pokojowym na Bliskim Wschodzie, a nawet odnosząc się do sytuacji w Iraku, a więc do sprawy, która Niemcy i Amerykę tak bardzo podzieliła. Obserwatorzy nie mieli wątpliwości, że A. Merkel – wobec szykującego się do ustąpienia T. Blaira – staje się głównym sojusznikiem G. Busha w Europie. Jest politykiem, wokół którego zapanowała w Waszyngtonie bardzo dobra atmosfera i którego traktuje się jak autentycznego partnera.

Kolejna wizyta A. Merkel w Waszyngtonie przypadła na koniec kwietnia 2007 r. i związana była ze szczytem UE–USA. Choć niemieckiej kanclerz towarzyszył wówczas José Manuel Barroso, to pierwsze skrzypce grała A. Merkel, ciesząc się nad Potomakiem niesłabnącą sympatią. Jej osobistym sukcesem było podpisanie porozumienia o transatlantyckim partnerstwie gospodarczym, który jako pomysł przedstawiła trzy miesiące wcześniej. Tak szybka realizacja koncepcji A. Merkel była symptomatyczna. W ten sposób prezydencja niemiecka w Unii Europejskiej wypełniła konkretną treścią odbudowywany układ transatlantycki. Trudno też było nie dostrzec znaczenia tego – jeszcze dość wstępnego – porozumienia. Wszak sygnatariuszami były dwa najsilniejsze obszary gospodarcze w świecie; zlikwidowanie, czy tylko obniżenie wzajemnych barier oznaczało profity dla obu stron (zwłaszcza wymierne dla Niemiec).

Przez następne miesiące 2007 r. A. Merkel zdołała zwiększyć już i tak ogromny kredyt zaufania w Waszyngtonie, nie wychodząc z roli, która – jak można sądzić – stała się już atrybutem niemieckiego przywódcy – świadomy swej rangi na arenie międzynarodowej, działający zgodnie z interesem niemieckim, stawiający problemy i tematy do rozmów bez kompleksów, ale przy zachowaniu pewnych zasad, w których Adenauerowski paradygmat i uznanie dla wagi dobrych relacji z USA liczą się szczególnie. Było to tym łatwiejsze, że Francja, przeżywająca w pierwszej

połowie 2007 r. przedwyborczą gorączkę, nie stanowiła przyciągającego czy konkurującego z Ameryką punktu odniesienia. Należało zgodzić się z opinią, że A. Merkel przywróciła atlantycki wymiar niemieckiej polityce zagranicznej.

Trudno też nie dostrzec, jak kanclerz A. Merkel umiejętnie niwelowała ważną płaszczyznę potencjalnego sporu amerykańsko-niemieckiego. Chodziło o „tarczę antyrakietową”, która wywołała – jak wiadomo – ostry spór na linii Waszyngton-Berlin jeszcze w okresie prezydentury B. Clintona. Ze względu na ewentualne miejsca lokalizacji elementów systemu w Polsce i Czechach i spowodowaną tym ostrą reakcją Rosji, spór ten zyskał nie tylko nowy aspekt, ale mógł stać się – podobnie jak było w okresie kłótni o Irak – przyczyną rozłamu wśród państw europejskich. Wówczas poparcie dla planów administracji G. Busha wobec Iraku wywołało w Niemczech ostrą krytykę pod adresem Polski i innych proamerykańskich krajów Europy Wschodniej. Teraz pytaniem było, czy plany budowy instalacji w dwóch państwach wschodnioeuropejskich spowodują podobne natężenie polemik w Europie.

Reakcje przedstawicieli rządzącej w Niemczech „wielkiej koalicji”, w tym polityków wywodzących się z *SPD*, na amerykańskie plany instalowania elementów „tarczy” w Europie były dość powściągliwe. To, że ton wypowiedzi nie był w pełni akceptujący, należy uznać za efekt m.in. tradycyjnego już dla Niemiec *Zivilmacht*. To zaś, że nie powtórzyła się sytuacja z 2003 r., gdy to Polska ze względu na swój proamerykanizm została nazwana w niemieckiej prasie „osłem” amerykańskim, oznaczało spadek temperatury polemik o antyamerykańskim wydźwięku. Warszawa, choć akceptowała pomysł zainstalowania części „tarczy antyrakietowej” na swoim terytorium, nie została tym razem przez Niemcy zganiona.

Wypowiedzi przedstawicieli rządu odnosiły się nie tyle do lokalizacji części systemu i zasadności jego budowania, ile do jego charakteru. Mówiąc najogólniej, stanowisko Niemiec zawierało dwa zasadnicze elementy: „tarcza antyrakietowa” – jeśli już powstanie – powinna być częścią składową systemu obrony *NATO* oraz plany amerykańskie muszą być konsultowane z Moskwą. Różnice dotyczyły innego rozkładania akcentów w zależności od przynależności partyjnej. Wywodzący się z *SPD* minister spraw zagranicznych Frank-Walter Steinmeier naciskał na konieczność rozmów z Rosją i nawet „wykonania kroku do tyłu”, aby nie eskalować konfliktu i nie doprowadzać do powrotu atmosfery zimnowojennej. Z kolei niemiecki minister obrony Franz Josef Jung z *CDU*, podobnie zresztą jak kanclerz A. Merkel, był zainteresowany rozwiązaniami w ramach i w uzgodnieniu z *NATO*. O podjęcie dyskusji w ramach Sojuszu apelowała do Waszyngtonu kanclerz A. Merkel i do zaakceptowania takiej formuły rozmów namawiała władze polskie w marcu 2007 r.

Uderzał natomiast niezwykle ostry i kategoryczny sprzeciw byłego kanclerza G. Schrödera, dziś już poza polityką, który uznał lokalizację części systemu obrony antyrakietowej w Polsce i Czechach za pomysł politycznie skrajnie niebezpieczny, zagrażający interesom rosyjskim. Idąc w sukurs W. Putinowi, szef rady nadzorczej

konsorcjum budującego gazociąg bałtycki dowodził, że w ten sposób zamiast umacniać więzi z Rosją, odsuwa się ją od Zachodu. „Ameryka realizuje swoją politykę, która nie ma nic wspólnego z interesem europejskim” – przekonywał G. Schröder³³. Można było odnieść wrażenie, że współarchitekt bezprecedensowego rozłamu w stosunkach na linii Berlin-Waszyngton znowu odwołuje się do antyamerykańskich nastrojów w Niemczech. Trudno powiedzieć, aby G. Schröder był osamotniony na gruncie niemieckim. Podobne głosy słychać było w Niemczech. Wychodziły one z kręgów opozycji: *FDP* i Zielonych, co wydaje się w tym wypadku niemalże naturalne, ale zauważalne były też wśród polityków rządzącej koalicji.

W tej sytuacji uznać należy stanowisko rządu niemieckiego za niezwykle wyważone i tonujące ewentualne napięcia wokół problemu. Było ono tym ważniejsze, że prezentowało je państwo przewodzące aktualnie Unii Europejskiej. Bezspornie więc miało wpływ na działania Waszyngtonu: na jego szeroko zakrojone wysiłki przekonania Rosji do „tarczy” oraz na podjęcie rozmów o systemie także w ramach *NATO*. Nie oznacza to, że Niemcy odniosły pełny sukces: Rosja konsekwentnie bowiem sprzeciwiała się instalowaniu blisko jej granic elementów „tarczy”. Opór Rosji wynikał z obawy o swą pozycję w sytuacji, gdy w jej byłej sferze wpływów „zainstalują się” Amerykanie. W kalkulacjach W. Putina powracał stary motyw rozbijania Europy na tle stosunku do amerykańskich planów. Z gruntu więc stanowisko Moskwy musiało być negatywne, a opór trudny do przełamania.

Z kolei podjęta przez Amerykanów dyskusja w ramach *NATO* nie oznaczała, że USA zgodzą się z koncepcją włączenia „tarczy” do planowanego od dłuższego czasu systemu obrony przeciwrakietowej *NATO*. Chodzi o względy finansowe (to Amerykanie finansują „tarczę”), a także kompetencyjne (trudno założyć, że Waszyngton zgodzi się podporządkować własny system dowództwu Sojuszu). Wreszcie, istniały silne obawy co do możliwości uzyskania jedności w ramach *NATO*, wszak Amerykanie ostatnio mieli z tym przykre doświadczenia.

Nie zmieniało to faktu, że rząd A. Merkel, nie podważając zasadności budowy „tarczy antyrakietowej”, zrobił wiele, aby temat ten nie stał się ponownie areną sporu i zadrażnień w stosunkach z amerykańskim partnerem. Forsując sugestie, żeby rozmawiać z Rosją i rozmawiać w ramach *NATO*, politycy „wielkiej koalicji” osłabili też realną w warunkach niemieckich groźbę eskalacji nastrojów antyamerykańskich. Z kolei administracja G. Busha, wykazując godną odnotowania skłonność do debaty i negocjacji, a nie tylko forsowania swoich racji, w jakimś stopniu poddała się niemieckiemu oddziaływaniu.

Potwierdzeniem tego był sukces A. Merkel jako gospodyni szczytu państw G-8, odbywającego się na początku czerwca 2007 r. w niemieckim Heiligendamm. Podpisana wówczas deklaracja, w której Ameryka zgodziła się wreszcie rozważyć redukcję o 50% emisji gazów cieplarnianych oraz przekazać w gestię ONZ dalsze

³³ Cyt. w: *Schröder Faults U.S. on Missile Shield*, „International Herald Tribune” 11 III 2007.

rozmowy na temat ocieplania klimatu, uznana została za wyraźny postęp w walce ze zmianami klimatycznymi. Wprawdzie daleko jeszcze było do oczekiwań sygnatariuszy Protokołu z Kioto, ale i tak szefowa niemieckiego rządu, dzięki swojej konsekwentnej polityce zdobywania sympatii G. Busha, ale też wzmacniania wzajemnego zaufania, zdołała wpłynąć na zmianę stanowiska amerykańskiego prezydenta. Było to ważne osiągnięcie Berlina i osobiście kanclerz A. Merkel, potwierdzające coraz bardziej partnerski stan relacji amerykańsko-niemieckich.

Amerykański kierunek polityki Niemiec przeszedł w ostatnich kilkunastu latach wyraźną ewolucję. Po przełomie 1989/1990 r. kontynuowana była bliska współpraca między Waszyngtonem a Bonn, rzucono nawet hasło „partnerstwa w przywództwie” jako formułę określającą wzajemne relacje, a kanclerz H. Kohl mówił o stosunkach z USA, że to „kotwica niemieckiej polityki zagranicznej”. Jednak już samo zjednoczenie Niemiec oraz nowe uwarunkowania sytuacji geopolitycznej w Europie (zniknięcie zagrożenia komunistycznego) spowodowały pewne przetasowania roli i pozycji Ameryki w polityce niemieckiej. Osłabło poczucie uzależnienia od wsparcia i protekcji amerykańskiej. Zjednoczone i w pełni suwerenne Niemcy miały odwagę prezentować większy margines niezależności od Waszyngtonu, nie zrywając wszakże z Adenauerowskim paradygmatem „pomostu” i orientacją atlantycką.

Zmiana koalicji rządowej w RFN na jesieni 1998 r. początkowo nie zwiastowała odejścia od dotychczasowych, bezkolizyjnych relacji z Ameryką, choć *SPD* i Zielonych cechowała pewna ambiwalencja, jeśli idzie o stosunek do USA. Wydarzenia związane z atakiem terrorystycznym na Amerykę w 2001 r. wniosły nowe elementy, których efektem była najpierw deklaracja Schrödera o „nieograniczonej solidarności” z USA, a potem pogorszenie wzajemnych relacji, aż do stanu, który można uznać za najgorszy w powojennych dziejach obu państw. Narastający antyamerykanizm w społeczeństwie niemieckim znalazł po raz pierwszy tak silne odbicie w polityce zagranicznej RFN. Berlin niezwykle krytycznie ocenił amerykańską strategię walki z terroryzmem wyrażoną w „doktrynie Busha”, a następnie odchodząc od Adenauerowskiego paradygmatu stał się – wraz z Francją i Rosją – twórcą antyamerykańskiego „frontu odmowy”.

Wszystko to potwierdzało, jak silnej ewolucji uległo podejście Niemiec do ich najważniejszego do niedawna sojusznika. Chodziło w tym sporze nie tylko o względy doraźne – wyborcze, ale przede wszystkim o odmienne widzenie wielu problemów, metod działania i kreślonych celów. Poza tym pod rządami G. Schrödera i J. Fischera nastąpiło pełne zdyskontowanie faktu, że Niemcy są już krajem całkowicie suwerennym i „normalnym”, świadomym swej rangi, a więc mogą w stosunkach z Waszyngtonem przyjmować pozycję niezależną, a nawet konfrontacyjną. Co więcej, Berlin uznał, że postawa antyamerykańska ma swoją siłę przyciągania i może służyć budowaniu silniejszej pozycji Niemiec w Europie i świecie.

Jednak obie strony płaciły pewną cenę za ten bezprecedensowy kryzys we wzajemnych relacjach. Początkowo osobista niechęć utrudniała powrót do normalności. Dlatego trzeba było nowych okoliczności, aby odejść od stanu „zatrutych stosunków”. Objęcie urzędu kanclerskiego przez Angelę Merkel późną jesienią 2005 r. było właśnie taką okolicznością. Nowa szefowa rządu – w przeciwieństwie do G. Schrödera – w dobrych relacjach z USA ponownie dostrzegła czynnik umocnienia pozycji Niemiec na arenie międzynarodowej. Antyamerykanizm przestał więc kształtować politykę zagraniczną Republiki Federalnej, i to pomimo dominującego w społeczeństwie niemieckim sceptycyzmu, czy wręcz niechęci wobec USA. A. Merkel przywróciła też polityce niemieckiej paradygmat unikania wyboru między współpracą atlantycką a integracją europejską. W efekcie Berlin uzyskał możliwość wpływania na amerykańską politykę zagraniczną, a USA „odzyskały” niemieckiego sojusznika.

Nie ulega wszakże wątpliwości, że relacje amerykańsko-niemieckie zyskały nowy charakter, będący w dużym stopniu konsekwencją niedawnych wydarzeń. Osłabiona pozycja Ameryki w świecie i zapotrzebowanie Waszyngtonu na sojuszników w Europie postawiło A. Merkel w wyjątkowo korzystnej sytuacji wobec USA. Poza tym silniej niż kiedykolwiek wcześniej Niemcy uświadamiają sobie swoją rolę na arenie międzynarodowej jako w pełni suwerenne i „normalne” państwo. W relacjach ze Stanami Zjednoczonymi występują więc bez kompleksów, jako partner śmiało przedstawiający swój punkt widzenia, realizujący własne interesy, krytykujący politykę amerykańską bez obaw o reakcję. Mając za sobą doświadczenie rozejścia się z Waszyngtonem i świadomość tego, że nie zawsze musi zgadzać się z amerykańskim sojusznikiem, Berlin zachowuje pewną niezależność wobec USA. Jest to zresztą konieczne w sytuacji, gdy antyamerykanizm stał się elementem niemieckiego życia publicznego, a natura interesów niemieckich i amerykańskich wykazuje coraz więcej różnic.

Z drugiej strony, A. Merkel rozumie, że bez silnej Ameryki świat byłby znacznie mniej bezpieczny. Dlatego ani nie stara się osłabiać i podważać roli Stanów Zjednoczonych w świecie, ani nie szuka alternatyw dla sojuszu z Ameryką. Raczej stara się wykorzystać współpracę z Waszyngtonem dla własnych celów, dla lepszego realizowania politycznych i gospodarczych interesów Niemiec. Można zatem stwierdzić, że sojusz amerykańsko-niemiecki, podobnie jak cały układ transatlantycki, jest obecnie bardziej efektem świadomego wyboru, niż egzystencjalnej konieczności – jak było w okresie zimnej wojny. Ameryka zajmuje w polityce niemieckiej ważne miejsce, co nie znaczy, że w zależności od różnicowania się interesów i celów politycznych ta pozycja nie będzie ulegać zmianie.

ABSTRACT

German-American relations have evolved significantly over the last several years. This was due, among others, to the new conditions of the foreign policy of the unified Germany and the changing position of the USA on the international stage. It must be admitted, however, that during the rule of the CDU/CSU-FDP coalition a good atmosphere in mutual relations was maintained and the USA were one of the major points of reference for the policy of Bonn. Yet even then certain controversies could not be avoided, but this did not affect a change of America's role in the policy of the FRG. When power passed on to the SPD/Green Party coalition in 1998 at first there were no signs of any forthcoming deterioration of harmonious relations with the USA. The situation changed under the influence of developments that followed September 11, which included the proclamation of the "Bush doctrine" and intervention in Iraq. At a crucial moment the German-American relations were in a state of 'poisoning'. The situation improved only after a shift in the German political configuration in 2005. Then it was possible to return to a favorable atmosphere in mutual relations, but on different conditions, whereby Berlin became a very important and valuable partner for the USA.